



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Alfreda Olkowicz

Tamte dni

Ktoś kiedyś powiedział, że jesteśmy „chorzy na wojnę”. To prawda. Przy każdej nadążającej się okazji ciągle wracamy do tamtych dni. I choć byłam tylko małym dzieckiem i zdawać by się mogło te takie dzieci nic nie rozumieją lub nie powinny pamiętać, jest to nieprawdą. Moje okruchy wspomnień niech będą tego smutnym dowodem.

Urodziłam się 8 marca 1938 roku, tj. na rok przed wybuchem II-ej wojny światowej. Ojciec mój pracował jako elektryk u „Lilpoppa”, mama prowadziła dom oraz pracowała dorywczo (prała, sprzątała) pomagając tacie. Zapowiadała się szczęśliwa rodzina. Szczęście trwało jednak bardzo krótko.

Wrzesień 1939 roku. Tata dostaje wieczorem kartę mobilizacyjną. Rano idziemy razem na dworzec południowy na punkt zborny, z punktu zbornego odjechali samochodami. Jeszcze wówczas mama nie wiedziała, że tatę widzimy po raz ostatni (zginął pod rumuńską granicą podczas przeprawy naszego rządu). Szczęśliwa rodzina przestała istnieć. Mama została sama z półtoraroczną córeczką, podzieliła los wielu jej podobnym, w owym czasie mieszkaliśmy na ulicy Ordona na Woli (seria tanich domów dla ludzi pracy). Mama była dzielną, energiczną kobietą. Nie załamała rąk, lecz wraz z innymi kopie rowy na rogatkach Woli, organizuje grupę kobiet, które znoszą żywność dla dzieci i starców. Chodziły aż pod Babice za chlebem, przedzierały się przez front. Mama opowiadała o tamtym okresie, mówiła o bohaterskiej obronie Warszawy przez żołnierzy. Opisywała obraz pobojuwiska: ludzie, konie i żelaztwo leżały pokotem. Opowiadała, jak grzebały zabitych żołnierzy, polskich i niemieckich razem. Każdy z żołnierzy miał przy sobie taką blaszkę, którą przelamywało się na połowę. Jedna zostawała ze zmarłym a drugą zabierały ze sobą. Już nie pamiętam, które blaszki były nasze – okrągłe czy trójkątne. W każdym bądź razie mama zbierała te blaszki i chodziła do okopów polskich i oddawała dowódcy blaszki nasze a potem chodziła do okopów niemieckich i tam oddawała blaszki ich. Na pytanie koleżanek, dlaczego chodzi do Niemców i oddaje im ich blaszki, mama odpowiadała: „wobec śmierci są jedni i drudzy jednacy. Oni też mają dzieci i żony”.

Kiedy walki się nasiliły po żywność chodziła mama tylko ze mną, gdyż kobiety bały się chodzić. Mama nie chciała zostawić mnie samej więc zabierała mnie z sobą. Kiedy świstały kule mama kładła manie na ziemię i przykrywała swoim ciałem. Kiedy trochę ustawało, szła dalej. Przynosiła do domu chleb, słoninę, konserwy. Dostawała od żołnierzy polskich i niemieckich, jak również od gospodarzy. Produkty te rozdawała kobietom i dzieciom. Któregoś dnia pocisk rozwalił nasz dom. Ja znalazłam się pod jego gruzami (mam płaski nos i naczyniak na ręce). I wtedy dobrzy ludzie pomagali mamie odkopać mnie spod gruzów. Znalazłyśmy się z mamą bez dachu nad głową. Nie miałyśmy się gdzie podziać. Rodzina taty gdzieś się zapodziała. Na Bema nikt nic nie wiedział. Ich dom też został

zbombardowany. Poszukiwania na nic się nie zdały. Poszliśmy na Stare Miasto do znajomych. Tu też nie znalazła mama nikogo. Tak kilka nocy spędziliśmy pod łódką nad Wisłą w okolicy Rybaków. Któregoś dnia spotkała mama koleżankę i ona zabrała nas do swojej babci na Rybaki. Był to blok po koszarach. Początkowo Mama pracuje w ochronce (przedszkole) na ulicy Bugaj. Tam też przebywam i ja.

Z tego okresu niewiele pamiętam – „ogromnego” konia na biegunach oraz wielkie drzewa przy wejściu na teren przedszkola. Pod przedszkole przychodziła dziewczynka dużo starsza niż ja. Mieszkała na Kamiennych Schodkach z młodszym od siebie rodzeństwem i babcią. Krysia prosiła sanie o chleb. Biegałam do kuchni, prosiłam o kanapki mówiłam, że jestem głodna, chowałam pod fartuszek i biegłam do Krysi. Panie podpatrzyły co ja robię z kanapkami i poszły ze mną. Od tej pory Krysia Krzycho-dziła do kuchni i dostawała jedzenie dla rodzeństwa. Któregoś dnia wieczorem mama gdzieś poszła a ja zostałam z „babcią”. Pani ta chciała zapalić świecę, ja stałam przy stole. I nagle znalazłam się pod łóżkiem. Nastąpił ogromny wybuch. Ze strachu usnęłam tam pod łóżkiem. Znalazł mnie tam sąsiad. U niego byłam kilka dni. Mieszkanie w którym mieszkaliśmy nie nadawało się do zamieszkania. Co się stało – „babcia” znalazła gdzieś „świecę”, ale to nie była świeca tylko granat.

Kilka dni „babcia” i moja mama spędziły w Cytadeli za karę musiały pod górę wtaczać ciężkie drewno. Ale na szczęście wszystko skończyło się pomyślnie. Ale my znów zostałyśmy bez mieszkania. Ponieważ nie było jej kilka dni w pracy, więc pracę w przedszkolu też straciła. Wynajęła mama kuchnię w pani Gwardiakowej na Świętojerskiej pod nr 8 na trzecim piętrze. W dzień mama pracowała w Kasie Chorych na ulicy Miodowej, a w nocy w Suszarni Warzyw na ulicy Świętojerskiej 10. Tak jak większość dzieci spędzałam czas na ulicy. Trochę chodziłam do siostr do przedszkola na Freta, przy kościele św. Jacka. Po powrocie znów wracałam na naszą ulicę. Mój świat ograniczał się do kilku ulic Starego i Nowego Miasta. Jednak najbardziej lubiłam naszą ulicę a po niej Freta (był tam sklep z zabawkami) oraz kościół św. Jacka. Na naszej ulicy przy Freta była herbaciarnia Szmalca, Żyd miał krowy i konie na przechodniaku (mniej więcej w tym miejscu, gdzie obecnie stoi Instytut Wzornictwa Przemysłowego) sklep pana Zakolskiego, który wyrabiał beczki, węglarnia pani Kowalczykowej (pan Kowalczyk zginął w Mauthausen) i najwspanialsza hala targowa w której się tyle działo. Był to ogromny plac po środku którego były umieszczone stragany zrobione z siatki drucianej. Na straganach tych było wszystko mięso, śledzie, warzywa, owoce oraz inne smakołyki. Po lewej stronie hali mieściła się fabryczka lodu, przed którą stał wspaniały wóz chłodnia z dyszlami i zabawną wajchą. Wieczorem przeważnie wchodziliśmy na niego i była wspaniała zabawa. Po przeciwnej stronie stał budynek w którym mieściła się fabryka pudełek do konserw, a na końcu na wprost wejścia w głębi za straganami była „moja” fabryka Suszarnia Warzyw.

Inż. Grzegorzeczki i pani Halina uczyli mnie pisać. W suszarni nocowałam. Hala miała swoją legendę, opowiadaną wieczorem i nocą na ławeczce przed fabryką przez pracowników. W miejscu gdzie była hala stał kiedyś klasztor, a co po niektórzy widzieli błędzące duchy. Na ławeczce siadano wieczorami i nocą śpiewano zakazane piosenki. Rozpijano wartowników niemieckich, a wszystko po to, aby w tym czasie nasi pracownicy mogli psuć maszyny lub gdy było getto szykować w workach pomoc dla ludzi tam zapędzonych. Muszę wspomnieć dlaczego wieczorami i nocą przebywałam na terenie fabryki. Naloty z dnia na dzień nasilały się, nie tylko w dzień ale i nocą. Coraz częściej trzeba było schodzić do piwnicy. Którejś nocy nalot był bardzo silny, wszyscy z naszego domu poszli do piwnicy, ja spałam więc nikomu nie przyszło do głowy aby mnie zbudzić. Podczas nalotu obudziłam się, po cichutku szybko się ubrałam (ubranie miałam poskładane równiutko w kostkę) i podeszłam do drzwi, lecz te jak stwierdziłam z ogromnym przerażeniem były zamknięte. Zaczęłam krzyczeć, darłam się tak głośno, że usłyszano mnie w piwnicy. Pan Gwardiak przybiegł na górę i zabrał mnie do piwnicy. Od tamtej pory już nigdy nie zostałam sama na noc w domu. Suszarnia stała się dla mnie moim drugim domem. Mama w tym czasie pracowała tylko w fabryce. Kiedy zbliżał się wieczór, brałam koc, jasiek i wlokąc za sobą majdany szłam przez całą halę do fabryki spać. Czasami pytały mnie przepukli: „córciu, gdzie ty idziesz?”

Przebywając prawie co dzień w suszarni, znałam wszystkich. Krysia i Jadzia to najlepsze koleżanki mamy, bracia Buczyńscy obok fabryki hodowali kozy, dzieci pracowników miały mleko. Kochane kozy żywiły nas również w czasie powstania. Suszone warzywa wysyłane były na front, a obierki i brukiew do obozów. W dzień kiedy był silny nadzór pracowano zgodnie z „plakatami”, na których narysowany był żółw lub remontowano popsute nocą maszyny. W nocy natomiast było wiele pracy. Każdy miał swoje zadanie. Fachowcy psuli maszyny, a kobiety do worków z obierkami wkładali w środek suszone warzywa, najwięcej suszonej cebuli. W brukiew kobiety rzeźbiły orzelki. Miały one choć trochę wnieść radości w okropnym życiu obozowym. Z chwilą, gdy do getta nie można było ślę dostać, kobiety miały dodatkową pracę. Organizacja dostarczała im takie wąskie woreczki, które napełniano ziemniakami i suszonymi warzywami. Następnie młodzi chłopcy przywiązywali sobie do paska spodni te długi wąskie woreczki na wierzch zakładali płaszcze i tak obciążeni szli w umówione miejsce pod mur getta. Tam już łatwo było przerzucić takie wąskie woreczki przez mur. Było to niewiele, ale może w niewielkiej części pomogło tym biednym ludziom skazanym na powolną śmierć.

Do pomieszczenia gdzie obierano warzywa na ogół Niemcy nie wchodzili, a to z tej przyczyny, że było wypełnione zapachem obieranej cebuli. Zawsze w pogotowiu był przygotowany kubek z obraną cebulą. Dłużej niż minutę nikt nie wytrzymał. Tak to kochana cebula stała się „zasłoną dymną” dla nielegalnej pracy. Suszarnia warzyw pana inż. Stanisława Chmielewskiego była dla mnie nie tylko miejscem spania i zabaw, ale też miejscem nauki i przykrych wspomnień. Pod koniec okupacji a było to w chwili gdy Niemcy likwidowali getto, jak zwykle byłam na terenie suszarni. W tym czasie coraz częściej przebywałam u mamy w pracy, niż na ulicy, a to z tej prostej przyczyny, że ulica była bardzo niebezpiecznym miejscem zabaw.

Pewnego dnia raniem zajechały samochody pod fabrykę. Niemcy z karabinami kazali wszystkim wsiąść do samochodów. Nikt nie wiedział co się dzieje. Może ktoś zdradził. Może wszystkich zawiozą na Palmir „na rozwałkę”. Choć mogłam się ukryć w pustym piecu do suszarni warzyw, mama zabrała mnie ze sobą. Samochody zajechały od strony ulicy Pawiej. To co tam zobaczyłam nie da się wyrzucić z pamięci. Obraz ten pozostał i powraca bardzo często w snach nawet teraz po wielu latach. Ulica była dość wąska po prawej stronie stali Niemcy z automatami i takimi miotaczami ognia oraz było kilku Niemców, którzy robili zdjęcia tych okropnych scen. Niemcy podpalali domy, w których byli ludzie (po drugiej stronie ulicy) słychać było krzyki. Na jednym z domów na pierwszym piętrze widziałam, jak mężczyzna w białej koszuli wyszedł na balkon. Zapali papierosa, ręką oparł się o balustradę w tym momencie rozległy się strzały. Koszula jego stała się czerwona. Mężczyzna przechylił się przez balustradę i spadł prosto w języki ognia (dom od dołu płonął). Na innym balkonie tego samego domu scena była jeszcze bardziej wstrząsająca. Najpierw na balkon wyszła kobieta i postawiła stołek, potem wzięła dwoje swoich dzieci. Dziewczynka miała ze dwa-trzy lata, a drugie było niemowlęciem. Owinęła siebie i dzieci w kołdrę i weszła na stołeczek. Nikt do niej nie strzelał. Widocznie wzbudziła zainteresowanie. Przeciwnie robiono zdjęcia. Kobieta wraz z dziećmi wyskoczyła z balkonu. Było to okropne. Ona leciała osobno, dzieci osobno i kołdra też osobno. Myślała biedna, że może jakimś cudem zdoła uratować swoje dzieci. Całe to zdarzenie trwało przez chwilkę. Języki ognia pochłonęły wszystkich. Słychać było krzyki.

Tego było już za wiele. Nie mogłam więcej patrzeć. Skuliłam się między nogami stojących i zakryłam oczy. Gały czas widziałam minione straszne widoki. Nie zdawałam sobie sprawy, że ludzie ci nie żyją, lecz wiedziałam, że strasznie boli poparzenie. Pracownicy fabryki prosili pilnujących nas Niemców, aby nie kazali nam patrzeć. Oni jednak nie reagowali. Wyśmiewali się z nas: „Jak nie będziecie posłuszni, to was czeka to samo”. Krysia, mamy koleżanka, spytała, dlaczego mama pozwoliła mi na takie zbrodnie patrzeć? Mama jej odpowiedziała: „Nie wiadomo, czy ktoś z nas przeżyje to piekło, może jej się uda. Ktoś musi zapamiętać i opowiedzieć”.

Kiedy nie byłam u mamy w fabryce, to bawiłam się z dziećmi na ulicy lub podwórku. Na naszym podwórku mieliśmy swój mały ogródek. Hodowaliśmy w nim parę krzaczków pomidorów. Basia Rachwalska i Janka Kowalczykówna pielęgnowały krzaki pomidorów, a nas Maćka Rachwalskiego i mnie wysyłały na ulicę po łajno końskie, aby lepiej rosły nasze pomidory. Bawiliśmy się na podwórku i ulicy. Zimą jeździliśmy na sankach (przeważnie zrobionych przez naszych rodziców) z Mostowej lub z Panny Marii górki. Na Freta nie dochodząc do Nowego Miasta mieścił się sklep z zabawkami. Często chodziliśmy tam, aby popatrzeć na wspaniałe zabawki, często nieosiągalne dla nas. Bardzo lubiliśmy bawić się w policjantów i złodziei, partyzantów i Niemców. Chodziliśmy za niemieckimi żołnierzami z patykami i śpiewaliśmy „haj li haj lo”, aż któregoś dnia dostaliśmy manto od starszych dzieci. Z płaczem pobiegłam do mamy, mama wzięła mnie na kolana i długo tłumaczyła mi znaczenie piosenki. Przrzekłam, że nie będę więcej śpiewać choć naprawdę było mi szkoda, gdyż bardzo mi się podobała melodia.

Mama nauczyła mnie wierszyka „Kto ty jesteś”. Pewnego razu, a było to po zamknięciu Żydów w getcie, poszłam do Mejlla na Freta po zakupy. Spotkałam tam Szymka. Szymek uciekł z getta i kupował chleb. Właściciel sklepu – Niemiec Mejllo, dał Szymkowi chleb i bułki oraz inne produkty bez pieniędzy. Ja kupiłam również chleb i wracaliśmy w stronę hali. Od strony Freta nadszedł patrol „trupich główek”. Na pewno nie zwróciliby na Szymka uwagi, gdyby nie Lotka (mieszkała w domu nad halą), która podeszła do nich i powiedziała, wskazując na Szymka: „Jude – polski chleb zjada”.

Zaczęliśmy uciekać. Gdybyśmy wpadli na halę, to przekupki schowałyby Szymka, tak jak to robiły nieraz. Niestety, Niemcy byli szybsi. Szymek błagał, aby go puścili, obłapywał ich za nogi. Mówił o głodnych rodzicach i młodszym rodzeństwie. Błagania jednak nie pomogły. Zaciągnęli go do bramy na Freta i tam zabili. Ciało mego kolegi po krótkim czasie pokryły kwiaty. Lotkę w niedługim czasie ktoś zabił w jej mieszkaniu. Pamiętam ją jako kobietę bardzo złośliwą. Kiedyś w Wielkanoc do ślubu jechała dorożką młoda para, a Lotka z okna pierwszego piętra wylała na nich pomyje. Stojący wówczas w jej oknie Niemcy bardzo się cieszyli z jej żartu.

Po śmierci Szymka bardzo się rozchorowałam. Leżałam w szpitalu u Karola i Marii na Lesznie. Chorowałam bardzo długo. Zaraziłam się i przesłam wszystkie choroby dziecięce, jedna po drugiej. Leżałam w separacie, mamy nie wpuszczano do mnie. Miałam bardzo ładną małą choinkę. Siedziałam

zazwyczaj na łóżku i śpiewałam wszystkie wyuczone w suszarni piosenki: „O rany Julek i Mańka też, poszli do kina gdy padał deszcz i tak się całowali, aż krzesła połamali...”, „Czerwona róża, biały kwiat...”, „Tam do polskiej armii wojsko zaciągają...”, „Lecą bomby, lecą na naszą Warszawę...”, „Ja tylko mogę wziąć cię za nogę, rznąć o podłogę...” oraz „Ukochane chryzantemy złociste” i inne. Przychodziły do mnie pielęgniarki, siostry zakonne i lekarze i słuchali jak śpiewałam. Ze szpitala mama cały czas nosła mnie „na barana”. Tramwajem przejeżdżaliśmy przez getto. Widok był okropny, pełno było siedzących na ulicy starych ludzi. Było bardzo zimno, dzieci w lachmanach.

Tuż przed wybuchem powstania może dzień, lub dwa a może tydzień nie bardzo mogę sobie przypomnieć. Bawiłam się jak zwykle na ulicy (w tym czasie przedszkole było już nieczynne) przybiegł kolega z ulicy i powiedział: „Na Długiej jest rozbity magazyn niemiecki, choć pobiegniemy tam, może coś znajdzie my dla siebie. Widziałem również twoją mamę jak szła w tym kierunku”. Kiedy dobiegliśmy przechodniakiem do Długiej ujrzeliśmy okropny widok. Na ulicy było pełno Niemców. Na rogu Miodowej i Długiej na środku jezdni stał rozstawiony karabin maszynowy, zwrócony w stronę Freta. Niemcy strzelali do ludzi na ulicy. Zauważyłam moją mamę po drugiej stronie przy kościele garnizonowym. Nie zdawałam sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Zostawiłam kolegę choć on wołał za mną i pobiegłam przez jezdnię do mojej mamy. Jakiś młody mężczyzna wyskoczył za mną, złapał mnie wpół i wraz ze mną wpadł do kościoła. Tam już przeczekaliśmy bezpiecznie do końca masakry (jak długo trwała strzelanina – nie pamiętam). Kiedy wracaliśmy do domu widok ulicy Długiej był okropny. Jezdnia usłana była trupami i rannymi. Rannych wnoszono do pobliskich bram. Widziałam chłopca, który siedział na chodniku z uciętą nogą. Ale prawdziwe piekło miało się dopiero zacząć.

Pierwszy sierpnia 1944 roku, rano. Jak zwykle po zrobieniu sobie śniadania wyszłam na naszą ulicę. Świętojańska budziła się ze snu. Dzieciaków jeszcze nie było, dlatego też poszłam do hali do swoich znajomych przekupek. Bardzo się zdziwiłam, że dużo jatek było zamkniętych. Przekupki z warzywami i owocami były jak zwykle niezawodne. Od pani Hani dostałam jabłko. Chciałam wsiąść na wóz do przewożenia lodu (stał zwykle po lewej stronie hali), ale tym razem go nie było. Po drugiej stronie przed fabryczką puszek do konserw stało sporo osób i o czymś rozprawiali. Już miałam podejść, aby ze złomu znaleźć coś do zabawy, gdy nadeszła mama: „Córuś, nie oddalaj się od domu”. Nie wiedziałam dlatego. Myślałam, że pójdziemy do Śródmieścia, gdzie bywałam bardzo rzadko. Poszliśmy pod nasz dom, ja zostałam na ulicy, a mama poszła na górę zostawić zakupy. Potem poszła gdzieś i bardzo długo jej nie było. Na ulicy były już wszystkie moje koleżanki. Mama nie wracała, więc z dziećmi pobiegliśmy na plac Krasieńskich na huśtawki. Przed obiadem było mało chętnych, więc właściciel karuzeli pozwalał nam bez pieniędzy pojeździć, tylko jazda w samochodziku była dla nas nieosiągalna. Byłam głodna, więc pobiegłam do domu, ale mamy nadal nie było. Odgrzałam sobie zupę i znów wyszłam na ulicę. Gdzieś około trzeciej-czwartej na ulicy słychać było strzały. Strzały słyszało się z różnych stron Starego Miasta. Od strony Wisły, Wytwórni Papierów Wartościowych jak również od strony Długiej. Mamy nadal nie było, więc z dziećmi pobiegliśmy znów na huśtawki. Przecież to było bardzo blisko domu, a strzały na ulicy nie były czymś nadzwyczajnym, zdążyliśmy się już przystosować i przyzwyczać. Na placu karuzele były zamknięte co nas bardzo zdziwiło. Ludzie biegali jak opętani. Wszyscy się gdzieś spieszyli.

Podszedł do nas taki młody pan i ostrym, stanowczym głosem kazał pójść do domu. Pobiegliśmy natychmiast. Na naszej ulicy panował wielki ruch. Nie to co rano. Ludzie z naszej ulicy i nie tylko (zauważyłam dużo obcych twarzy), śmiali się i żartowali. Mówili, że to koniec panowania Niemców. Z bazaru i okolicznych domów znosili na ulicę meble, krzesła, skrzynki, worki z piachem i przeróżne sprzęty, które mogły by się przydać do budowy barykady. Znalazła się oczywiście moja mama. Ale była radocha – nareszcie i na naszej ulicy było wesoło. Wszędzie było nas pełno, nosiliśmy z bazaru puste skrzynki. Budowa barykady przebiegała bardzo sprawnie. Jedni nosili potrzebny sprzęt inni natomiast kopali szeroki rów a jeszcze inni układali płyty chodnika i brukowce w pryzmy. Jednak gdy rów był już dość głęboki, musiano przerwać pracę, ponieważ jeden z kopiących niechcący kilofem uszkodził rurę od gazu. Co prawda zaraz zabezpieczono przewody, ale dół zasypano a barykadę trzeba było zbudować ją w innym miejscu. Zbudowano ją zaraz za rogiem na Freta od strony łośowego Miasta. Całej tej pracy towarzyszyły bardzo wesołe nastroje. Przynajmniej ja nigdy nie widziałam tak roześmianego tłumu. W tym też czasie był nalot i wszyscy chowali się do najbliższego domu, część ludzi schowała się w Herbaciarni. Mama, ja i jeszcze kilka osób zostaliśmy pod murem nieopodal nieskończonej barykady. W czasie nalotu jedna z bomb trafiła w przedsionek św. Jacka uszkadzając figurkę Matki Boskiej z dzieciątkiem, a wieża kościelna stanęła w płomieniach. Przyjechała straż polarna. Obserwowałam wraz z innymi z rogu ulicy Świętojerskiej jak gaszono kościół. Strażacy na dachu gasili figurki i w pewnym momencie z przeciwnej strony ulicy z dachu ktoś strzelił. Jeden ze strażaków spadł. Wtedy bardzo płakałam. Było mi bardzo żal tego pana, który ratował mój ukochany kościół.

Po tych wydarzeniach poszliśmy do domu. Na naszym domu powiewała biała czerwona flaga. Na innych domach również. Do późnych godzin wieczornych siedzieliśmy przed domem, a dorośli rozprawiali o wydarzeniach minionego dnia. My natomiast mieliśmy swoją lekcję historii, gdyż musia-

no nam tłumaczyć znaczenie flagi. Byliśmy przyzwyczajeni do flag niemieckich a naszej nikt z nas nie znał, przynajmniej my maluchy. Jeszcze raz w powstaniu było nam dane przeżyć wspaniały dzień. Była to defilada na ulicy Długiej. Prowadzono jeńców. Wiwatowano na część powstańców. Zdawało się, że tylko godziny dziele od całkowitego zwycięstwa. Radość jednak trwała bardzo krótko. Niemcy, którzy w pośpiechu prawie opuścili miasto, gdyż spodziewali się frontu, widząc że front zatrzymał się za Wisłą, pozbierali się nadzwyczaj szybko. Było coraz gorzej. Naloty powtarzały się coraz częściej tak, że musieliśmy zejść do piwnic. Stała się ona teraz naszym domem, naszym placem zabaw, naszą radością i smutkiem. Pamiętam, że gdy bawiliśmy się w chowanego to zawsze chcieliśmy chować się w piwnicy. Kryła ona w sobie zawsze tyle tajemnic. I zawsze wypatrzył nas pan Mazanowski (dozorca) nie pozwalał do niej wchodzić. Teraz było odwrotnie byliśmy skazani na przebywanie w niej. Nienawidziliśmy tej okropnej piwnicy. Piwnice były obszerne tak, że wszyscy lokatorzy i nie tylko oni mogli znaleźć dla siebie kąta do spania. Lokatorzy poznosili swoje manele. Pozbijano legowiska. Nikt nie znosił łóżek, bo miało być to tylko na kilka dni („przecież ruskie są na Pradze...”), które później przeciągały się w nieskończoność. Jeden okropny miesiąc piekła na ziemi, długi jak rok. Życie dzieci i starych kobiet przebiegało monotonicznie – na modlitwach, śpiewach kościelnych i przekleństwach. Mężczyźni i młode kobiety nie siedzieli w piwnicy. Go chwilę coś się paliło, trzeba było gasić, podawać wodę, znosić i opatrywać rannych, gotować strawę. Ugotować jedzenie dla tylu osób nie było łatwą rzeczą, trzeba było jeszcze ją zdobyć.

Moja mama rzadko gościła w „domu”. Kiedy powstańcy odbili pałac Krasińskich zносиła broń, zносиła ją również gdy były zrzucone broni. Podczas jednego z takich zrzutów samolot zawadził skrzydłem o kościół garnizonowy na Długiej. Rannego lotnika mama wraz z innymi przeniosła do szpitala na Długą.

Ponieważ w naszej piwnicy było dużo dzieci, trzeba było starać się dla nich o jedzenie. Któregoś dnia mama z Tadeuszem Kowalczykiem (synem węglarki) wieczorem przydzwigali do piwnicy pół konia. Jedzenia starczyło na kilka dni. Najgorzej było, gdy Niemcy zniszczyli wodociągi. W piwnicy było wielu rannych, a nie było wody. Nie było czym przemywać ran, nie było nic do picia czy gotowania. Trzeba było zorganizować wyprawę do źródła. Można było tam pójść jedynie nocą. Aby tam dotrzeć należało przejść obok Wytwórni Papierów Wartościowych, a zakład ten był raz w ręku powstańców to znów w rękach Niemców. Okolice źródła były pod ciągłym ostrzałem, toteż wokół niego leżało mnóstwo zabitych.

Pierwszy wypad po wodę zakończył się sukcesem. Ale z nocy na noc stawało się to koszmarem. Czasem zdobycie wody było wręcz niemożliwe. Kilka wypraw powróciło bez niczego. Pewnej nocy zamiast wody mama z innymi przynieśli beczkę wina od Fukiera. Co to była za radość! Można było przemyć rany i ugasić pragnienie.

Któregoś dnia po piwnicy rozeszła się wieść, że powstańcy przejęli „Goliata”. Kto żyw pobiegli nasi, aby zobaczyć zdobycz. Nie mogliśmy się doczekać ich powrotu. Wrócili z Podwala przygnębieni, ze łzami w oczach. Była to niemiecka pułapka. Zginęło tam bardzo dużo ludzi.

Gdzieś pod koniec sierpnia powstańcy zdobyli magazyny na Stawkach. Między innymi były tam niemieckie „panterki”. Sporo powstańców poprzebierało się w nie. Można było zmylić Niemców, ale w pierwszej chwili pomyłką padali nasi. Dopiero później pozakładali na rękaw opaski. Właśnie tego dnia moja mama została ranna. Stała przed naszym domem z Tadeuszem i patrzyli na poprzebieranych powstańców. Właśnie wtedy padł pocisk, a odłamek trafił mamę w nogę. Tadeusz również został ranny. Mama nigdy nie mogła sobie wybaczyć, że tak głupio została ranna przed własnym domem. Dostała od tego gorączki i koledzy mieli ją przenieść nocą do szpitala na Długą. Miała już przygotowaną kartę w szpitalu. Nie trafiła tam jednak. Zaważył zwykły przypadek. Na Freta mieścił się sztab AL i został zbombardowany, a pozostali przy życiu powstańcy przenieśli się do naszej piwnicy. Była z nimi sanitariuszka pani „Zula”. Przynajmniej tak mi się zdawało. Pani „Zuli” zawdzięczam życie mojej mamy. Troskliwie opiekowała się nią i innymi naszymi rannymi. Po upadku Starówki pozostała z rannymi, dlatego nie jestem pewna czy przeżyła.

Teraz chciałam wspomnieć o nas – dzieciach. Czy bawiliśmy się? Było co prawda niewiele miejsca, ale zawsze znalazł się kącik do zabawy, w przerwach między nalotami. W połowie sierpnia przybywało coraz więcej „lokatorów”. Wówczas poprzebijano ściany i można było swobodnie przejść z jednej piwnicy do drugiej. Wtedy można było bawić się w chowanego. Bawiliśmy się w dom, policjantów i złodziej, Niemców i powstańców. Nasze „organizacje partyzanckie” miały nawet prawdziwe nazwy. W obszernej piwnicy zbierali się przedstawiciele różnych ugrupowań, od których zapożyczaliśmy nazwy: „Omtur”, „Wici”, „AL”, „AK”. Przeciwnikami byli: „Granatowi”, „Gołębiarze”, „Trupie Główniki”, „Gestapowcy”. Nikt nie chciał być przeciwnikiem. Robiliśmy wyliczankę. Pamiętam, że śmieszyło nas wszystko. Śmialiśmy się z byle czego. Nawet wtedy, gdy z głowami leżeliśmy na kolanach naszych rodziców podczas nalotów. Nigdy nie obyło się bez szturchańców.

W naszej piwnicy mieszkała pani K. Była to stara panna. Miała pieska, który wabił się Bimberek. K. miała bardzo słabe nerwy i ciągle miała rozstrój żołądka, ciągle siedziała na kubelku. Cała scena

wyglądała mniej więcej tak: pani K. siedzi na swym barłogu, modli się, śpiewa godzinki, pieśni pobożne, piosenki kabaretowe. Przechodziła z jednej skrajności w drugą. Nagle słychać „szafę – krowę” – zgrzyt, zgrzyt. Po usłyszeniu „krowy” biegliśmy każdy do swojej mamy, kładło się głowę na kolanach i słuchało – zasypie czy nie zasypie. W tym czasie pani K. siadała na kubelku i słychać było charakterystyczny odgłos żołądka, a przy tym wszystkie niecenzuralne słowa. Zaraz też wołała swego Bimberka. My w tym czasie zanosiliśmy się od śmiechu. Nie pomogły razy od rodziców. I tak scena powtarzała się od nalotu do nalotu.

Jednak najfajniej było, kiedy przychodził wieczór. Wówczas wychodziliśmy na „świeże” powietrze. W piwnicy był wydzielony kącik i stały tam kubły, które wynosiło się nocą. Wszyscy czekali upragnionej nocy. Kobiety i dzieci kucały pod gruzami w jednym rządku, a mężczyźni naprzeciw w drugim rzędzie. Ogromnie nam się to podobało. Noce były upalne. Cudownie usiane gwiazdami. Mama, kiedy nie była jeszcze ranna, pokazywała nam gwiazdozbiory i tak przepięknie umiała o nich opowiadać. Niekiedy opowiadała nam bajki lub recytowała wiersze. „Pójdźcie o dziatki...”, „Jedzą, piją, lulki palą...”. Z czasem mimo pięknej pogody coraz częściej nie było widać pięknych gwiazd, gdyż przesłaniała je zasłona dymu.

Pod koniec powstania (na Starym Mieście) w naszej piwnicy mieliśmy coraz więcej rannych, a coraz mniej jedzenia i wody. Coraz częściej płakaliśmy. Brakowało nam zabaw na dworze i częściej ktoś na nas krzyczał. Nawet z pani K. nie śmieliśmy się. Naloty bardzo się wzmogły, tak że nawet nocą nie można było wyjrzeć na podwórko. Nasza Starówka umierała. Drugiego września rozeszła się wieść, że będziemy opuszczać Stare Miasto. Ludzie wpadli w panikę. Jedni mówili aby nie opuszczać piwnic, inni, że Niemcy nic ludności nie zrobią. Zdrowi i bez dzieci mieli się przedostać kanałami do Śródmieścia.

Ludzie nie wiedzieli co robić. Zostać, przejść kanałami, czy poddać się Niemcom. Wiadomo było jedno, z każdej strony groziła śmierć. Postanowiono, że zdolni do dalszej walki w nocy z drugiego na trzeciego przeszli do Śródmieścia. Ciężko ranni musieli pozostać gdyż nie było możliwości przetransportowania ich kanałami. Zresztą przy kanałach działy się okropne sceny. Ludzie topili się, dusili gazem, który Niemcy wrzucali do kanałów. Zostając w piwnicy można było liczyć na humanitarność. Sporo ludzi pozostało więc tutaj.

Pamiętam noc poprzedzającą wygnanie. W bramie kobiety piekły na „kozie” placki na drogę, a także dla pozostających tutaj ciężko rannych. Inni wiązali tłumoki, zakopywali w piwnicy cenniejsze rzeczy, których nie można było wziąć ze sobą. Nastął ranek drugiego września. Mama zrolowała koc, cukier przesypała do poszewki. Z piwnicy poza cukrem i kocem nie zabrała nic. Było bardzo ciepło, wobec czego jeszcze przed wyjściem zdjęła z siebie sweter i zostawiła na pryczy. Mama przekonana była, że Niemcy nas rozwałą. Przecież widziała, jak likwidowali getto, dlatego nic nie brała. Zresztą o lasce – cóż można było wziąć. Koc przewiesiła mi przez ramię. Stołeczek składany wzięłam dla mamy w rękę. Zabrałam też szkaplerzyk Matki Boskiej Częstochowskiej i byłam gotowa do drogi. Mama w jedną rękę wzięła laskę, a w drugą woreczek z cukrem.

Piwnice opuściliśmy rankiem 3 września. Na miejscu pozostali tylko ciężko ranni. Wraz z nimi pozostała też pani Mazanowska (dozorczyńca) z mężem oraz jeszcze trzech powstańców. Gdy wyszliśmy przed dom, nie mogłam poznać naszej ukochanej ulicy. Gruzy sięgały do pierwszego piętra. Nie pamiętam dlaczego, ale krążyliśmy wokół naszego domu. Wszyscy krzyczeli, płakali i przeklinali. Z jednej strony ulicy, tj. od strony Freta, Niemcy poganiali wszystkich, aby szybciej opuszczać piwnice. Z drugiej zaś – od strony pl. Krasińskich – stali powstańcy i nie kazali nam wychodzić ze Starego Miasta. Tak więc krążyliśmy tam i z powrotem. Trwało to bardzo długo, gdyż trzeba było pokonywać zwały gruzów. Przy wejściu do hali leżał młody powstaniec pilnowany przez Niemców. Był rozebrany prawie do naga. Był ranny, chyba umierał. Nie potrafię przypomnieć sobie jego twarzy, lecz na zawsze pozostaną mi w pamięci jego ogromne, czarne oczy. Oczy, które prosiły o pomoc. Jednak tej pomocy nikt nie był w stanie mu dać, bo ktokolwiek próbował się zbliżyć to Niemcy strzelali. Jedna pani chciała chłopcu podać trochę wody, wówczas stojący obok hitlerowiec postrzelił ją w nogę. Już nikt więcej nie próbował się zbliżyć do rannego.

Po trzecim okrążeniu i pokonaniu zwałów gruzów pod eskortą Niemców dostaliśmy się na Nowe Miasto, a następnie na plac przed szkołą przy Stawkach. Na boisku było już bardzo dużo ludzi. Wśród krzyku i popychań Niemcy kazali ustawić się w kolejce. Nastąpiła pierwsza selekcja. Mężczyźni i młode kobiety osobno, a matki z dziećmi i ranni osobno. Do mamy podeszła znajoma – chyba pani Ciborowska. Dała nam kawałek chleba i dwie pomarańcze. Od niej mama dowiedziała się, że mężczyźni i młode kobiety wywożą do obozów do Niemiec, a pozostałych do Pruszkowa. Natomiast ciężko rannych zabijają.

Przed szkołą byliśmy prawie do wieczora i bardzo przydał się stołeczek, który zabrałam z piwnicy. Oczekujący byli zwrócenii twarzą w stronę Starego Miasta. Nasza ukochana Starówka umierała. Wszędzie kłęby dymu i ognia. Po upływie wyznaczonej godziny na opuszczenie piwnic, niemieckie

samoloty pikowały i niszczyły to, co pozostało. Ludzie w milczeniu płakali. Pod wieczór ustawiono nas w długą kolumnę i pognano w stronę Woli. Po drodze ludzie rzucali pobrane z sobą tłumoki.

Zagnali nas do kościoła św. Wojciecha na Wolskiej, gdzie spędziliśmy noc. Na ławkach i filarach pisaliśmy wiadomość, gdzie nas prawdopodobnie wywożą (aż do odnowienia kościoła były nasze nazwiska wykrobane na kolumnie). Nie pozwolono wychodzić na zewnątrz, nawet za swoją potrzebą. Potrzeby fizjologiczne załatwiano przy wielkich drzwiach. Przy wejściu do kościoła też była selekcja. Niektórzy młodzi ludzie mieli pobandażowane głowy lub ręce czy nogi. Niemcy wyrywkowo sprawdzali rannych. Kilku młodych mężczyzn wybrali z kolumny i rozstrzelali.

Następnego dnia rano pognali nas na Dworzec Zachodni, a następnie bydłecymi wagonami zawieźli do Pruszkowa. W Pruszkowie było okropnie. Byłam bardzo przestraszona. Wszędzie pełno ludzi. W ogromnej hali na słomie leżeli chorzy i ranni, kobiety i dzieci. Mama co chwilę spotykała znajomych. Witali się z radością i płaczem. Rozdano nam czarną kawę i po kawałku chleba. Nigdy chleb nie smakował mi tak jak wówczas. Zmęczona zasnąłam na zrobionym przez mamę barłogu. Nazajutrz obudziłam się głodna i wszystko mnie gryzło. Okazało się, że oblażyły nas wszy, które nie opuściły nas aż do wyzwolenia. Do zmagania o przetrwanie doszła walka z wszawicą. Wszy były wszędzie. Im więcej się człowiek mył, tym więcej ich przybywało. Nie pomogło ścięcie włosów. Zachorowałam na czerwonkę. Bolał mnie brzuch. Za cukier, który mama zabrała, kupiła mi lekarstwo. Zabroniła mi mówić komukolwiek o mojej chorobie.

Z Pruszkowa Niemcy wywieźli nas do Rozpry. Mieszkaliśmy w barakach. Spaliśmy na trzypiętrowych łózkach. Na środku baraku stała „koza” (piecyk). Przebywaliśmy tam kilka dni. Któregoś wieczoru mamusia kazała mi położyć się spać w ubraniu. Nie mogłam zasnąć. Nocą wyszliśmy przed barak. Mama zwróciła się do żołnierza niemieckiego, z którym już wcześniej kilka razy rozmawiała. Po chwili kiwnęła na nas ręką i przez furtkę uciekliśmy prosto do lasu. Biegliśmy bardzo długo. Bardzo się bałam. W drodze pogubiłam trzewiki (były na mnie za duże). Mama nie dała mi ich poszukać. Miałam podrapane nogi i bardzo byłam zmęczona. Nad ranem spaliśmy w kopcu na polu.

Uciekło nas trzy rodziny: ja z mamą, pani Rafalska z Maćkiem i Basią oraz pani Cichocka (siostra pani Rafalskiej) z synem Zbyszkiem i córką Basią, a także stary ojciec. Po tej męczącej podróży znaleźliśmy się w okolicach Częstochowy. Miejscowości nie pamiętam. W każdym razie niedaleko od Częstochowy, gdyż co niedzielę chodziliśmy na mszę św. na Jasną Górę. Bardzo nie lubiłam tam chodzić, ponieważ ludzie bardzo tam płakali. A nikt nie chciał wytłumaczyć dlaczego. Każda rodzina mieszkała u innego gospodarza. Ja z mamą ulokowałam się w pokoju, gdzie w przepięknie rzeźbionej kolebce leżało jakieś małe dziecko. Pewnego dnia kazano mi pilnować dziecka. Tak bardzo podobała mi się kolebka, że wyjęłam je z niej i położyłam na łóżku. Sama weszłam do tej kolebki, aby się pobujać. W tym czasie przyszła właścicielka domu i bardzo mnie skrzyczała.

Któregoś dnia przyszedł do nas sołtys i poinformował, że przydzielono nam – warszawiakom opuszczony dom, abyśmy mogli wszyscy razem zamieszkać. Kiedy wprowadziliśmy się do tego domu, panował tam wielki bałagan. Nie było szyb, okna zabite deskami. Wszyscy zabraliśmy się do roboty. Po kilku godzinach nie można było poznać domu. Wszyscy bardzo się cieszyli. Nareszcie byliśmy razem. W domu tym doczekaliśmy wolności. Byliśmy bardzo szczęśliwi. Okoliczni mieszkańcy przynosili nam różne przedmioty do gospodarstwa, ponieważ była już późna jesień. Ludzie miejscowi dali nam również ziemniaki, marchew, buraki i inne plody rolne.

Nasze mamy chodziły do gospodarzy do pracy, nie chciały być ciężarem dla wioski. Pani Rafalska już lepiej się czuła. Po śmierci męża w Mauthausen długo nie mogła dojść do siebie. Dobre powietrze i spokój sprawiły, że nawet razem z innymi zaczęła pracować. Zapłatą za pracę była żywność. Była nas przecież spora gromadka, a zima zbliżała się wielkimi krokami. Mieliśmy warzywa i owoce. A my, dzieci, miałyśmy dużo czasu na zabawę. Kiedy nasze mamy pracowały, to obie Basie gotowały obiad, a Zbyszek, Maciek i ja chodziliśmy do lasu po drzewo i chrust. Zbyszek był z nas najstarszy i dlatego on nosił największe drwa. Zebranie opału na zimę było naszym zadaniem. Były to dla nas wspaniałe dni. Ja nigdy nie widziałam wsi i wszystko mnie zachwycało. Z Maćkiem chodziliśmy do odległego od nas domu, do pewnych gospodarzy. Zawsze o jednej porze. Pani gospodyni robiła masło w maselnicy, a czasami dawała nam ubijać. Bardzo nam się to podobało, a i gospodyni nie poskąpiła wspaniałego chleba ze świeżym maselkiem. Było wspaniałe. Zawsze na powrót dostawaliśmy bańkę masłanki.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Zbyszek z moją mamą poszli do lasu po choinkę. Przywieźli na sankach (zrobionych przez nich samych z desek) przepiękne drzewko do samego sufitu. Zabawki robiliśmy już od dwóch tygodni. Był wspaniały anioł z bibułki, łańcuch, gwiazdki i szyszki z lasu. Tak przepięknej choinki nigdy nie miałam. Z okolicy gospodarze przynosili nam zabawki, jabłka i wszelakie smakołyki. Jeszcze dziś w oku lza się kręci, gdy przypomnę sobie tę ludzką życzliwość: „Proszę, to dla was, przyjmijcie warszawiacy, niech was Bóg błogosławi” – z tymi słowami składali nam dary. Dokładnie tak, jak niegdyś małemu Jezuskowi pasterze w Betlejem. Mamy nasze płakały. My z Maćkiem nic z tego nie rozumieliśmy. Z darów tych kobiety przygotowały wspaniałe dania.

Nasza dziewięcioosobowa rodzina szykowała się do wielkiego święta. Najpierw było generalne mycie. W pierwszej kolejności najmłodsze dzieci, to znaczy ja i Maciek, następnie obie Basie, Zbyszek, trzy mamy i dziadek. Dziadek był starym arystokratą. Na tę okoliczność włożył białą koszulę, którą zabrał ze sobą z piwnicy, aby – jak mówił – założyć na śmierć. Nigdy się z nią nie rozstawał. W tym miejscu muszę wspomnieć zabawną historię związaną z dziadkiem i jego koszulą. Na początku naszego wygnania, po ucieczce z przejściowego obozu szliśmy na Jasną Górę w niedzielę. Dziadek włożył swoją białą koszulę, a tu na czysty i starannie wyprasowany pod siennikiem materiał wyszła sobie wesz. Ktoś się roześmiał, że się tak wystroił. Wszyscy się śmiali, a dziadek bardzo się zdenerwował. Przecież ciągle się mył. Zaczął wymyślać, że nie będzie mieszkał z brudasami i się wyprowadzi. Nie mógł zrozumieć, że im więcej się mylił przydziałowym mydłem, tym większa była wszawica. Poprosił moją mamę, aby sprawdziła, czy on ma wszy i zsunął koszulę z pleców. W tym czasie wszawica była tak wielka, że nie można było jej opanować. Na wewnętrznej stronie koszuli było ich pełno. Wszy zwalczyły nasze mamy dopiero wówczas, gdy same zaczęły robić mydło.

Ale na razie przygotowywaliśmy się do Wigilii. Ja z Maciusiem wykąpaliliśmy się jako pierwsi, toteż przyszło nam wyglądać pierwszej gwiazdki. Nie mogliśmy się doczekać. Wreszcie wszyscy zasiedli do stołu. Dziadek jako najstarszy wziął opłatek i zaczął składać życzenia. Najpierw była wielka cisza, potem znów wszyscy płakali, następnie zabraliśmy się do jedzenia. Zbyszek zapalił świece na choince i zaczęliśmy śpiewać kolędy. Niedaleko naszego domu mieszkali Niemcy – oni również świętowali dzień Bożego Narodzenia. Śpiewali bardzo ładnie, szczególnie „Cichą noc”. Po pewnym czasie przyszli do nas z kolędą sąsiedzi. Przynieśli podarki dla nas. Zrobiło się bardzo wesoło. Tej nocy nikt nie spał. Dzieci poszły spać dopiero nad ranem.

Nazajutrz, tj. w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, złożyli nam wizytę mieszkający obok Niemcy. Przynieśli dzieciom pomarańcze i czekoladę. Życzili nam wszystkiego najlepszego. Niemcy mówili łamaną polszczyzną, tak że można było ich zrozumieć. Zresztą jeden z nich był z naszymi dziećmi zaprzyjaźniony. Kiedy czas mu na to pozwalał zawsze się z nami bawił. Grał z nami w piłkę zrobioną z gałganów lub woził nas sankami. On miał w domu dwoje dzieci i bardzo za nimi tęsknił. Od początku wojny nie miał od nich żadnej wiadomości. Nie wiedział jak wyglądają. Tego „naszego” Niemca jak wkroczyli Rosjanie ukryliśmy w piwnicy, ale kiedy przyszedł oficer radziecki i spytał – „Germańców nie widzieli?” – to sam wyszedł, gdyż nie chciał narażać nas na przykrości. Rosjanin zabrał jeńca. Jak wyszli, to płakaliśmy za nim. Było nam go bardzo żal.

* * *

Był mróz i wokół leżał śnieg. Ktoś wpadł do naszej izby i powiedział: „Front idzie”. Mamy nasze zaczęły się ścisnąć. Cieszyły się jak dzieci. My nic nie rozumieliśmy. „Mamo, jak to idzie? Kiedy przyjdzie, czy jest daleko?” Pytaniom nie było końca. Wreszcie dziadek krzyknął na baby. Musimy się przygotować, zabezpieczyć wszystko. Na wszelki wypadek. Okna pozabijali deskami. Dziadek dyrygował naszymi mamami i Zbyskiem, jakby sam miał brać udział w wojnie. Przy tym opowiadał, jak nigdy przedtem, o swoich wyczynach w pierwszej wojnie światowej. Mówił o okopach i rozbrajaniu Niemców.

No i zaczęło się – od rana do wieczora. Wieś nasza kilka razy przechodziła z rąk do rąk. Raz byli tu Niemcy, to znów Rosjanie. Z Maćkiem schowaliśmy się pod łóżko ze strachu. Strzelanina trwała aż do wieczora. Dopiero wieczorem do naszego domu przyszedł Rosjanin i oznajmił, że wieś jest wolna, Częstochowa również. Dorośli spoglądali na niego z niedowierzaniem, gdyż nie mogło się w głównie pomieścić, by to była prawda. Do rana nikt nie poszedł spać. Całą noc dorośli spędzili na modlitwie.

Wkrótce po tym dniu ktoś przyniósł wiadomość – „Warszawa wolna!”. Wiwatom nie było końca. Co się działo, trudno opisać. Wszyscy płakali i śmiali się. Oczywiście zaraz zaczęliśmy przygotowywać się do powrotu do naszej kochanej stolicy. Miejscowi ludzie odradzali. Mówili, żeby nie wracać. „Gdzie wy idziecie? Żle wam tu? Przecież z Warszawy nie pozostał kamień na kamieniu. Zostańcie, przynajmniej do wiosny”. Na to nasi odpowiadali – „Przecież tam jest nasz dom, choć zburzony, ale nasz”. Cały wieczór i noc szykowaliśmy się do powrotu. A przecież ostatnio nie było nam źle. Mieliśmy co jeść. Zapasów na zimę dość i ludzie tacy życzliwi. Choć z tą życzliwością nie zawsze było tak jak tu. Kiedy uciekaliśmy z przejściowego obozu czasami nie chcieliśmy nocować w domu nawet dzieci. Często niektórzy mówili: „Warszawiacy – zachciało się wam powstania, to teraz macie. Jazda, bo psem poszczuję”. Jednakże częściej spotykaliśmy się ze zrozumieniem i życzliwością. Dzielili się z nami wszystkim co mieli.

Do Warszawy wracaliśmy czym się dało: furmanką, pieszo i trochę pociągami. W dwa dni od radosnej nowiny byliśmy już na Woli. Oczywiście pierwsze kroki skierowaliśmy na Stare Miasto, na naszą ulicę Świętojerską. Jaka była rozpacz! Miasto nasze było umarłe, wszystko zwalone w gruzy, trudno było trafić. Długo błądziliśmy po gruzach nim natrafiliśmy na ruiny naszego domu. Właściwie to tylko pozostała latarnia przed domem pani Kowalczykowej i mniej więcej po niej można było się zorientować. Na fragmencie naszej bramy przyczepionych było kilka kartek, informujących kto

z okolicy wrócił i gdzie obecnie zamieszkuje. O tym, aby w okolicy zamieszkać nie było mowy. Napisałiśmy i swoją kartkę, że żyjemy, kto przeżył i o pozostałych, o których wiedzieliśmy.

Pierwszą noc spędziliśmy na ulicy Żelaznej. Na drugi dzień po przybyciu do Warszawy poszliśmy szukać znajomych oraz mieszkania bliżej Krakowskiego Przedmieścia. Na Żelaznej nie było żywego ducha, choć dom był nawet nie tak bardzo zniszczony. Nasze rodziny podzieliły się. Zaczęły żyć własnym życiem. Na Krakowskim Przedmieściu z mamą spotkałyśmy Jankę Kowalczykównę – mieszkała z mamą i bratem na ulicy Bednarskiej 23. Poszliśmy do nich w odwiedziny i tam pozostaliśmy razem przez 10 lat. W domu tym było jeszcze dużo wolnych mieszkań.

Obie mamy zgłosiły się do przedsiębiorstwa Bosu (BSO) do porządkowania ulic. Gdy rozwiązali to przedsiębiorstwo, czy też zmienili nazwę, mama nadal pracowała. Pamiętam jak porządkowali Plac Zwycięstwa, róg Królewskiej pod budowę jezdnii. W zwałonym narożnym domu było wejście do piwnicy. Mama z kilkoma robotnikami weszła tam. Z tej piwnicy było przebicie do innej, a z niej prowadził dość obszerny, bardzo tunel długi. Poszli tym tunelem. Ciągnął się przez cały Plac Zwycięstwa, Plac Teatralny, aż do Bielańskiej przy Senatorskiej. Dalej był zawalony. Ktoś mówił, że tunelem tym można było przedostać się na ulicę Daniłowiczowską. Ulicę tę znałam bardzo dobrze. Było tam więzienie. W okupację chodziłam z mamą do tego więzienia przynosić grypsy. Początkowo byli tam więźniowie kryminalni, później polityczni. Przekazywanie informacji odbywało się przy pomocy specjalnych garnków z podwójnym dnem (rodziny mogły dostarczać aresztowanym jedzenie). Na spód wkładała mama zabezpieczony list, następnie nakrywała drugie dno i nalewała na to zupę. Przeważnie rosół z mięsem lub pomidorową. Mama miała nazwisko rzekomego męża lub brata. Prawie zawsze zabierała mnie ze sobą. Nazwiska dostawała mama od pani, która tam pracowała.

Gdy ulica była już wybudowana mama zatrudniła się przy budowie fińskich domków najpierw na górnym, a potem na dolnym Ujazdowie (Myśliwiecka). W tym czasie, aż do momentu rozpoczęcia nauki w szkole 1 września 1945 roku, do moich obowiązków należało przynoszenie wody i zbieranie drewna na opał. Po wodę chodziliśmy na ulicy Ossolińskich, na Krakowskie Przedmieście, na teren przy kościele Wizytek, a następnie aż do uruchomienia wodociągów do ogrodu seminarium przy kościele Karmelitów. Po opał udawaliśmy się na Stare Miasto.

Pewnego dnia jak zwykle wybrałam się z panią Kowalczykową po drzewo na Starówkę. Na rynku Starego Miasta w gruzach domu Fukiera wystawało wspaniałe drewno. Po gruzach weszłam kawałek i zaczęłam ciągnąć. Kiedy już wyciągnęłam kilka desek pani Kowalczykowa zaczęła na mnie wołać, bym natychmiast zeszała. Ja chciałam wyciągnąć jeszcze jedną deskę, ale do pani Kowalczykowej przyłączyli się jeszcze inni, więc zeszałam z gruzów. Wtedy zobaczyłam, że obok tej deski leżała „babaę” (niewypał).

W naszym domu przy ulicy Bednarskiej 23 był komisariat MO nr 1, w którym należało się zameldować zaraz po powrocie. Utkwiły mi w pamięci dwie defilady. Jedna radosna na cześć wyzwolenia Warszawy i druga bardzo smutna na pl. Teatralnym, kiedy Warszawa żegnała żołnierzy udających się na front. Była to bardzo smutna defilada – ludzie płakali, a nie było ani jednego żołnierza, który by nie miał kwiatów. Warszawiacy obsypywali ich kwiatami jak na procesji.

Któregoś dnia mama zabrała mnie z sobą do Ogrodu Krasieńskich. Odbywała się tam ekshumacja zwłok. Były to ciała zmarłych poległych na Starówce. Zwłoki były poukładane w rzędach. Aby zapobiec epidemii posypani byli chlorkiem. Widok był okropny. Między rzędami krążyli ludzie, szukając swoich bliskich i znajomych. Śmierć na tych młodych ciałach położyła bardzo dalekie piętno. Rozpoznać było bardzo trudno. Bliscy identyfikowali najczęściej po znakach szczególnych lub ubraniach. Tu i ówdzie słychać było wybuchy rozpacz. Nadzieja na to, że może najbliższa osoba żyje, tylko gdzieś jest daleko, pryskała jak bańka mydlana, a zasłyszana wiadomość stawała się prawdą. Byli i tacy, którzy z drżeniem serca szukali i nie znajdowali nikogo. Ci odchodzili z iskierką nadziei. Był to dzień okrutnej grozy. Nikt nie mógł przebywać w tym miejscu zbyt długo. Odór trupi był tak wielki, że szedł za nami aż do połowy Miodowej. Tej nocy nie mogłam spać – ciągle miałam przed oczami ten okropny widok, w uszach dźwięczał mi krzyk ludzi.

Muszę przyznać, że bardzo lubiłam chodzić z mamą w okupację do Ogrodu Krasieńskich, jednak jeszcze jeden wypadek zaważył, iż od tamtej pory – choć minęło tyle lat – nie byłam tam więcej. Może po kilku miesiącach od pamiętnej ekshumacji, poszłam z mamą na Starówkę na spacer. Stamtąd skierowałyśmy się do Ogrodu Krasieńskich. Gdy przeszłyśmy kilka kroków, nagle od strony górki nastąpił potężny wybuch i usłyszałyśmy krzyki. Pobiegłyśmy z mamą w tamtą stronę. Ujrzałyśmy dwóch chłopców bardzo poranionych (rozbrajali niewypał). Jeden z nich miał poszarpaną nogę, a drugi rozerwany obok. Mama podała moją białą bluzkę i zabezpieczyła – jak to było w tych warunkach możliwe – rany obu chłopców. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby przyjść z pomocą, wobec czego mama wzięła chłopca ciężiej rannego na plecy, a drugi podtrzymywany przeze mnie kuśtykał na jednej nodze. Tak doszliśmy do ich domu. Mama szła dużo szybciej niż ja. Chłopiec, któremu pomagałam iść, był starszy niż ja, a do tego nie miał już siły, więc było mi bardzo ciężko. Płakałam i prosiłam, by jeszcze kawałek i tak wlekliśmy się aż zaalarmowani przez mamę ludzie nadbiegli i wzięli go pod rękę. Chłopcy mieszkali w domu, którego już nie ma, gdyż w tym miejscu przechodzi trasa W-Z. Gdy znaleźliśmy się

przed ich domem przybiegli również ich rodzice. Następnie na wózku odtransportowano ich do szpitalika na Kopernika. Obaj chłopcy z tej przygody wyszli szczęśliwie.

Po tym wypadku długo nie mogłam przyjść do siebie. Była to zarazem dla mnie okropna lekcja. A tak niedawno przed tym wypadkiem sama z Mackiem i innymi chłopcami z ulicy rozbrajaliśmy mniejsze niewypały. Potrzebny był nam proch do strzelania. Zupełnie nie zdawaliśmy sobie sprawy z niebezpieczeństwa. My, dzieci żyliśmy jeszcze czasami wojny. Młodszy zazdrościł starszemu chłopcom, że brali udział w powstaniu, że walczyli z Niemcami. Chcieliśmy więc zaimponować starszym i kombinowaliśmy dla nich proch do strzelania. Rozbroić niewypał nie było trudno. W Warszawie w owym czasie było bardzo dużo prowizorycznych składów amunicji. Saperzy składali je w jednym miejscu, aby potem wywieźć i zlikwidować. Jednym z takich miejsc, gdzie składowano niewypały był rozwalony dom na naszej ulicy (Bednarskiej chyba 18). Poukładane były bardzo równiutko, czubkami w jednym kierunku. Po tych niewypałach jak po schodach wchodziliśmy na wierzchołek i wybieraliśmy takie mniejsze. Maciek i Edek wkładali za bluzę, a ja do sukienki, następnie schodziliśmy w dół, a potem nad Wisłą koło mostu Kierbedzia wyjmowaliśmy proch, bo przecież zbliżała się Wielkanoc i trzeba ją było uczcić. Starsi chłopcy patrzyli na nas z podziwem. Moje koleżanki bardzo mi zazdrościły.

Pewnego razu, kiedy siedzieliśmy na samej górze niewypałów, nie wiadomo skąd znaleźli się żołnierze. Nie kazali nam się ruszać i po kolei jeden z nich sprowadził nas na dół. Gdy zeszliśmy to trzęsły mu się ręce. Śmiało się pod nosem – „co oni od nas chcą”. Drugi z nich, gdy zobaczył, że my się uśmiechamy, zdjął pasa i dostaliśmy takie lanie, jak nigdy przedtem od nikogo. Byliśmy jednak mimo wszystko szczęśliwi, że nasze mamy się nie dowiedziały. Ale nie lanie, które otrzymałam od sapersa, ale opisany wcześniej wypadek sprawił, że nigdy więcej nie wzięłam do ręki niewypału, ale i innym nie dałam.

Muszę przyznać, że dopóki nie poszliśmy do szkoły, a właściwie krótko przed pójściem, byliśmy bezpieczni i wcale nam się nie nudziło. Tyle było wrażeń, chodziliśmy po piwnicach (które przecież mogły się zawalić) i zawsze coś ciekawego można było znaleźć, co potrzebne było do zabawy. Pewnego dnia poszliśmy z dziećmi na ruiny Zamku szukać skarbow. Niedaleko muru z balkonikiem był otwór, do którego weszliśmy. Było to bardzo wąskie przejście, zaledwie szpara. Była tam wnęka do piwnicy, ale w większości zawalonej. Maciek znalazł piłę do cięcia drzewa, a ja spod gruzów wyciągnęłam futro, które mama sprzedawała w budzie róg Al. Jerozolimskich i Marszałkowskiej. Przedtem dostałam lanie za chodzenie po gruzach. Postanowiłam, że już nigdy nic nie przyniosę do domu. Nasze „skarby” od tamtej pory chowaliśmy na strychu.

Wychowania uczyłam się na każdym kroku. Pewnego dnia wysłała mnie mama do sklepu po buraki. Nie mieliśmy za dużo pieniędzy, a sprzedawczyni – pani Lodzia kazała mi samej włożyć sobie buraki do siatki – skorzystałam więc z okazji, że obok stał worek z ziemniakami i po kryjomu zabrałam jednego kartofla. Po przyjeździe do domu powiedziałam mamie, że będziemy mieli o jednego kartofla więcej. Mama po wyjaśnieniu jej skąd go mam bardzo się rozgniewała. Nawet mnie nie zabiła, lecz kazała go zanieść i oddać pani Lodzi. Wolałabym dostać lanie niż zanieść ziemniak i powiedzieć co zrobiłam. Mama powiedziała, że cudza własność jest świętością.

Innym razem potrzebne nam były pieniądze, już nie pamiętam na co, a wziąć ich nie było skąd. W tym czasie chodziło wielu „dziadów”, więc oczywiście ktoś wpadł na pomysł, aby pójść „na żebry”. Umówiliśmy się, żeby nie dziadować w swojej okolicy, tylko na Pradze. W tym czasie ludzie byli bardzo czuli na biedę. Ułożyliśmy sobie bajeczkę, że jesteśmy sierotami itp. Obeszliśmy kilka domów, a każdy miał praktykę na wygnaniu, gdzie naprawdę korzystaliśmy z tej pomocy. Zebraliśmy sporo pieniędzy. Pech chciał, że na koniec trafiliśmy do domu, w którym mieszkała mama koleżanka z pracy i ona mnie rozpoznała. Lepiej nie mówić, jak się ta wyprawa dla nas skończyła. Już nigdy coś podobnego się nie wydarzyło. Ale po paru dniach znów potrzeba nam było pieniędzy, musieliśmy więc wymyślić już coś nowego, ale uczciwie. Była wiosna, a zatem poszliśmy do ogrodu przy Zamku, porobiliśmy bukietki i sprzedawaliśmy przy kościele św. Anny na Krakowskim Przedmieściu.

Latem chodziliśmy kąpać się koło mostu Kierbedzia po drugiej stronie Wisły. W tym też czasie księża zaczęli zbierać wałęsające się po ulicy dzieci i w Caritasie na Krakowskim Przedmieściu zorganizowali nam świetlicę. Nasza świetlica mieściła się w drugim podwórku na końcu, a w pierwszym w kilku pokojach mieścił się dom starców. Jednym z wielu wspaniałych ludzi był ksiądz Kliszko. Był on wspaniałym organizatorem, potrafił razem z siostrą wspaniale zagospodarować nam czas wolny. A w niedzielę – nie wiem jakim sposobem – załatwiał nam wycieczki, najczęściej do Młocin i na Bielany. W Młocinach po stronie, gdzie nie było niewypałów bawiliśmy się w podchody. Wszyscy chodzili do świetlicy z wielką ochotą. Nigdy się nam w niej nie nudziło. Jak poszliśmy do szkoły, to również zaraz po lekcjach przychodziliśmy. I nie tylko mali, lecz dużo starsi od nas, a nawet i studenci, którzy pomagali młodszym w lekcjach..

Pierwsza Wielkanoc była inna niż późniejsze. A może mnie się tak zdawało? Wielka radość rozpiekała wszystkich. Procesja odbyła się na Krakowskim Przedmieściu u Karmelitów, wokół pustego cokołu Adama Mickiewicza, który wkrótce miał wrócić na swoje miejsce.

W tym czasie ludzie pracowali z wielkim zapałem, na przekór całemu światu. Bo mówili, że gruzów z Warszawy nie sprzątnie się za dwadzieścia lat. Jesienią prawie wszystkie ulice były już oczyszczone.

Nadszedł dla mnie wielki dzień. Miałam pójść do szkoły. Przed powstaniem byłam zapisana do szkoły na ulicę Starą, ale ona teraz nie istniała. Dowiedziałam się, że niektórzy z podwórka już się zapisali do szkoły. A zatem i ja poszłam z mamą na ulicę Drewnianą, aby się zapisać. Pani powiedziała do mnie: „Powinnaś być szczęśliwa, że nic nie straciłaś”. Zupełnie nie wiedziałam o co jej chodzi. Wkrótce miałam się o tym przekonać. Na bazarze kupiła mi mama granatowy mundurek, a na zmianę fartuszek z białym kołnierzykiem uszyła mi pani Irena.

Pierwszego września obudziłam się bardzo wcześnie. Mama nie mogła mnie odprowadzić, gdyż pracowała w szpitaliku na Kopernika, a ponieważ brakowało ludzi do pracy, więc całe dnie tam przebywała. Było bardzo ciężko. Brakowało lekarzy, pielęgniarek, salowych. Mama była tytanem pracy. Nigdy dla mnie nie miała czasu. Ale widocznie tak musiało być. Ale w tak dla mnie wielkim dniu, jak pierwszy dzień w szkole, było mi przykro. Inne dzieci były ze swoimi rodzicami, a przynajmniej z jednym. Przed szkołą byłam dużo wcześniej niż potrzeba. Gdy przyszłam było niewiele dzieci. Zbiegaliśmy się na podwórzu szkolnym. W miarę upływu czasu napływało coraz więcej młodzieży. W budynku mieściły się dwie szkoły – 34-ta i 165-ta z ogólniakiem. Ja chodziłam do 34-tej. Na pewno na rozpoczęcie roku byliśmy wszyscy razem. Bardzo się dziwiłam, że było tak dużo dorosłej młodzieży, a niewiele takich maluchów jak ja. Ustawiono nas czwórkami i poszliśmy na Krakowskie Przedmieście do kościoła św. Krzyża na mszę św. Było nas tak dużo, że rodzice musieli pozostać na zewnątrz kościoła. Msza była bardzo uroczysta. Nie mogłam się doczekać jej końca. Byłam ciekawa dalszych wydarzeń. Po mszy wróciliśmy do szkoły. Ustawiliśmy się jak poprzednio. Nad bramą był umieszczony wielki głośnik. W ciszy wysłuchaliśmy przemówienia. Pamiętam, że pan mówił o młodzieży, która nie doczekała wolności. Mówił o dzieciach biorących udział w powstaniu, o tajnym nauczaniu i o tym, że czas wojny się zakończył i wszystkie dzieci muszą się uczyć, aby nasza ojczyzna powstała ze zgliszcz. Widziałam, jak niektóre „dorosłe dzieci” płakały. Przemówienie się skończyło, a na podwórzu była cisza. Następnie podzielono nas na klasy i w każdej grupie zaczęto wywoływać nazwiska. Bardzo się denerwowałam, czy mnie pani wyczyta. Dość długo czekałam, aż wreszcie wywołano moje nazwisko. Pani ustawiła nas parami i nareszcie weszliśmy do szkoły. Dla wszystkich nie starczyło miejsc w ławkach. Mniejsze dzieci siedziały z przodu na podłodze, a starsze po troje w ławce. Otrzymaliśmy zeszyty, a maluchy tabliczki. W każdej klasie była bardzo duża różnica wieku. W naszej byli uczniowie, którzy mieli po dziesięć lat i więcej. Ja bardzo się cieszyłam, że nie dostałam zeszytu tylko tabliczkę. Można było rysować i ścierać. I w ten sposób zaczęła się dla mnie edukacja.

Minęło parę lat. Zazdrościłam bardzo dziewczynce z plakatu. Pod zdjęciem dziewczynki był napis: „Mam siedem lat – tyle co Polska Ludowa i uczę się Ją budować”. Ja byłam wówczas już dużo starsza. Mówiłam sobie, a właściwie do dziewczynki z plakatu: „Ja też rosnę razem z Tobą i też uczę się ją budować”.